



Przyroda i historia

Puławy – Kazimierz

Jak nazwać działania pewnej firmy przewozowej, która zachęca ryczałtowym biletem na wakacje do korzystania ze swoich usług, a potem okazuje się, że przez remonty (chyba?) biletu nie sposób wykorzystać zgodnie z zamiarami?

Kraina wąwozów

Jakąż niemiłą niespodzianką był dla mnie fakt, gdy okazało się, że do Dębłina pociąg osobowy jedzie trzy i pół godziny. Siedem godzin na siedzenie w pociągu i jeszcze godzina na dojazd i powrót z dworca praktycznie przekreśla wypad na jeden dzień do Kazimierza inaczej niż samochodem. Tak też się stało, chcąc nie chcąc zapakowałem swój wehikuł „na pakę” i ruszyłem przed siebie... Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, wybrałem dość nietypową drogę, a mianowicie niewielką jej część przebyłem promem. Nie, nie bezpośrednio do Puław, choć gdyby kursował tam statek, z pewnością bym skorzystał, mimo, a może dlatego, że byłaby to wyprawa na cały dzień i całą noc, i cały dzień. Promem w poprzek Wisły.

IUNG

Gdy wreszcie dojechałem do Puław, pierwszym zadaniem było znalezienie parkingu i piesze zwiedzenie parku Izabeli Czartoryskiej. Dlaczego piesze? Ano dlatego, że nauczony złym doświadczeniem w innych tego typu parkach, gdzie z niewiadomych względów nie wolno na-

wet prowadzić roweru ze sobą, a trzeba przypinać do „wyrwikólek”, postanowiłem zabierając aparaty fotograficzne, od razu pójść do parku na piechotę. Jak zły to był wybór okazało się, gdy w pocie czoła przemierzałem setki metrów w poszukiwaniu wejścia do parku, o którym wiedziałem, że jest tuż za murem ogrodzonym. „System informacji miejskiej” prowadził mnie, a to do miejsca odpraw celnych, a to do IUNG (co to jest???), a to jeszcze dokądś. Wreszcie jakimś bocznym wejściem, które wskazał mi „pojmany jeniec” na skrzyżowaniu ulic Waryńskiego z księżnej Izabeli, dotarłem na teren pałacu.

Nie byłem przygotowany (czasowo) na zwiedzanie, obejrzałem pałac tylko od zewnątrz. W środku jest dziś muzeum, zobaczyć można eksponaty będące niegdyś własnością rodziny Czartoryskich, którym to za udział w powstaniu listopadowym car odebrał majątek, a oni musieli salwować się ucieczką aż do Paryża, aby zachować życie. Po konfiskacie w pałacu miały swoje siedziby różne instytucje, tak pozostało do dziś. Od 1950 roku jest siedzibą IUNG, czyli Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa. W ten sposób

się wyjaśniło, co to jest ów IUNG, ale żeby tak coś napisać językiem dla turysty – to nie ma... I tak w pałacu jest i muzeum (główne wejście), i siedziba Instytutu. Jakoś im chyba dobrze ze sobą...

Wstęp kosztuje 15 zł, bilet ulgowy – 10 zł.

PARK ROMANTYCZNY

Przechodzę do części parkowej. Wejście bezpłatne, ale trzeba pamiętać o zamykaniu drzwi, bo im „pawie pouciekają”. Nie ma problemu, zamykam. Ale co dalej? Szkoda, że brak jakiegoś planu, ścieżki prowadzącej do najważniejszych budowli parkowych, bo trzeba wiedzieć, że to nie jest taki sobie „zwykły park”. O nie. To angielski (nieregularny) park krajobrazowy, o powierzchni około 30 ha, po którym można chodzić i błędzić do upojenia. Doskwiera jednak brak szlaku, bo trudno tak bez przygotowania trafić do wszystkich „antycznych” budowli, ba, nawet można nie wiedzieć, że tego, czy owego się nie zobaczyło. Ulotki z planem sprawy nie ułatwiają, chociażby dlatego, że nawet nie wiadomo, czy są, a jeśli tak, to gdzie ich



Świątynia Sybilli w puławskim parku

szukać. Ja w każdym razie odnajduję na początek zabytek największego kalibru, bo Świątynię Sybilli i Dom Gotycki. Tymczasem rozlega się nie taki daleki znowu dźwięk. Paw! Rozglądam się wokół. Nie ma ptaszka. Może jest na dole? Bo trzeba wiedzieć, że park jest „dwupoziomowy”. Część na wysokiej skarpie, razem z pałacem, część „na dole”, na wysokości Wisły, chyba. Ale, ale, co ja „paczę”?

W parku (na dole) jest ścieżka rowerowa! No to hulaj dusza! Wracam. Jeszcze tylko parę fotek „z dołu” i długa droga do samochodu. Wracam rowerem. Po górnym „tarasie” go prowadzę, po dolnym wiedzie mnie ścieżka. Czarna. Trochę nie ta, bo miałem jechać niebieską, ale dobre i to. Może na rowerze prędzej dostrzegę pawia? Gdzieś tu muszą być, bo pogubiły pióra – spacerujący trzymają

je w rękę... Dojeżdżam do wody, a zaraz potem do mostku, przekraczam go zgodnie z oznakowaniem szlaku, potem przez zarośnięte łąki, wzdłuż rzeczki zasilającej parkowy staw i cóż widzę? Wylądowałem na parkingu, obok pozostawionego już półtorej godziny wcześniej samochodu. A więc uwaga: jest przejście do parku od ulicy 4 Pułku Piechoty WP. Tylko trzeba o tym wiedzieć...

KOŚĆ MAMUTA

Kusi mnie skręt szosą w lewo, na południe, bo w tym kierunku i tak zamierzam jechać, ale powstrzymuje obawa przed „nieznanym”. Nieznany, bo nie wiem, czy wjadę na szosę z Puław do Kazimierza, zamierzam bowiem w nieodległych Włostowicach zobaczyć... kość mamuta, którą odnaleziono przypadkiem przy kopaniu fundamentów pod świątynię. Boję się, że nie trafię tam, więc robię kolejne kółko i po chwili jestem na „wylotówce” w stronę Kazimierza. Dojeżdżam do kościoła. Przed nim karawan, ale żałobników nie widać. Pytam więc o godzinę uroczystości, a jak się okazuje, że mam jeszcze pół godziny – śmiało wchodzę do środka. Niestety, kości nie ma. Może na zewnątrz? W portalu? Też nie ma! Trzeba zasięgnąć języka. Po drugiej stronie ulicy jest plebania. Idę tam. Ksiądz zaskoczony, proboszcz też nic nie wie, ale ma zwrócić uwagę przy przyszłorocznym remoncie świątyni. Może ktoś wcześniej zatynkował? Zbyt wiele czasu straciłem w Puławach, kręcąc kółka wokół parku i pałacu, więc nie mam go już wiele na rozmowę i z żalem opuszczam sympatycznych duchownych, obiecując sobie zajrzeć tu przy okazji.

Teraz, po wyjeździe z miasta, zakończyła się też i ścieżka rowerowa po chodniku. Dobre i tyle tej ścieżki. Ale, ale, jak się później dowiedziałem, od przypadkowo napotkanego rowerzysty, podobno jest gdzieś tam nad Wisłą ścieżka z Puław. Podobno aż do Bochojny. Podobno... Jeśli nawet jest, to dlaczego nikt nie raczył pofatygować się i poinformować o tym? Miejski System Informacji nie działa? Czy może jest to tylko ścieżka widmo? Chciałbym to sprawdzić, dziś już nie zdążę, ale to już drugi powód, aby tu wrócić!

WĄWOZY

Tymczasem pora zjechać z drogi głównej. Wjeżdżam więc na chybił trafił w najbliższą, odchodzącą w lewo ulicę. Mam nadzieję, że nie zakończę tego zjazdu na czyimś podwórku... Nie, jest przejazd. Otwiera się przede mną pierwszy, najprawdziwszy wąwóz. Jestem zachwy-



Dom Gotycki

cony, jak tu pięknie. Po chwili pojawiają się znaki. Czarne. Ha! Dobrze i to. Miały być niebieskie, bo czarny szlak nie doprowadzi mnie tam, gdzie chciałem, ale kto wie, co mnie czeka dalej? Może będzie jeszcze coś niebieskiego? Na razie jestem zadowolony, że ktoś kiedyś już tu był przede mną, bo dziś to chyba tu nikogo nie spotkam. Chłonę widok, ale powolutku zaczynam z niego wychodzić na łąkę. Jestem na górze. Teraz pewnie drugim wąwozem zjadę w dół? Nie mam nic przeciwko.

ECH, TE SZLAKI...

Czarne znaki pojawiają się i znikają. Nie wiem już od dłuższego czasu, gdzie jestem. Dojeżdżam do asfaltu. W lewo albo w prawo. Znak jest na szosie po lewej stronie. Skręcam więc w lewo i... dojeżdżam tam, dokąd nie planowałem. Ale przynajmniej wiem, gdzie jestem. To ważna sprawa. A jestem przy pomniku pomordowanych w czasie ostatniej wojny przez Niemców, mieszkańców wsi Kolonia Zbędowice. Przy szosie pomnik, nieco niżej cmentarz. Na każdym chyba grobie kwiaty i znicze, same nagrobki już nadgryzione zębem czasu. Miejsce to jest też na Szlaku Niepodległościowym, dziś już mocno wirtualnym.

Skoro jednak już wiem, gdzie jestem, decyduję się wracać i na rozstaju dróg, gdzie skręciłem w asfaltówkę w lewo, tym razem pojechać w prawo. Tu niespodzianka. Czarnym szlakiem dojechałem do asfaltówki i teraz niezależnie, czy skręcę w lewo (tak jak uczyniłem, dojeżdżając do pomnika w Kolonii Zbędowice), czy skręcę w prawo – również to będzie czarny szlak! Czy to bezmyślność, czy celowa dezorientacja? W każdym razie asfalt to asfalt. Tyle wiadomo, że dokądś prowadzi, nie tak jak polna droga, która niejednokrotnie kończyła mi się w polu, na łące, a raz nawet zaprowadziła na podwórko czyjś gospodarkę. Zatem problemy nawigacyjne „z głowy” (przynajmniej na jakiś czas), można kontemplować piękno otoczenia.

A wokół mnie... pola uprawne. Ale ziemniaków, buraków czy pszenicy raczej tu nie ma. Przeważają owoce. Krzaki malin czy porzeczek ciągną się na przestrzeni kilkuset metrów, widać słoneczniki, a także... róże! Czyżbym dojechał już do Bułgarii? Nie, aż tam rowerem przynajmniej na razie nie dojadę, dojeżdżam do Zbędowic – i tu pierwsza zagadka. W prawo czy w lewo na rozwidleniu dróg? Na szczęście odczytuję prawidłowo intencje znakujących i po chwili jestem znów w wąwozie lesowym. Tym razem w dół. Już nie trze-

ba prowadzić roweru (było wcześniej trochę za stromo na jazdę), trzeba natomiast trzymać hamulce i podziwiać, podziwiać, podziwiać. Mimo że nie jest to Korzeniowy Dół – dla mnie bomba. Jestem zachwycony. I tylko szkoda, że to już koniec... Dojeżdżam (znów trochę błędząc) do Bochotnicy.

BOCHOTNICA

W centrum wsi, przy rondzie, kolejny pomnik pomordowanych przez Niemców polskich patriotów. I ten obiekt jest na Szlaku Niepodległościowym. Po drugiej stronie ulicy – wóz konny straży ogniowej sprzed stu i więcej lat. Ruszam w drogę, a ta zaczyna się leciutko pięć, lekko, niewyraźnie, tak jak lubię. Da się jechać, a jednocześnie zyskuję dość zauważalnie na wysokości. Nie ma co już wspominać o zagadkach na rozjazdach i skrzyżowaniach, raz jadę szlakiem zielonym, raz niebieskim (pożądanym), jest też czerwony, nie wiadomo nawet, skąd się wziął? Niestety, takie dyletanctwo w tym temacie sprawia, że nie dostrzegam ani ruin zamku Esterki, ani nawet jakiejś drogi tam prowadzącej. Trudno, trzeba będzie kiedyś tu wrócić. To już trzeci powód...

Jest za to kolejny wąwóz. Największy jak dotąd i chyba najpiękniejszy. Do tego wyłożony płytami betonowymi, a więc i samochody tędy jeżdżą. Dla rowerzysty taka perforacja w tych płytach to udręka, ale jakoś dają radę. Gorsza próba czeka mnie, jak za chwilę dojadę do Kazimierza. Otóż, zamiast wykorzystać z takim trudem „zdobytą” wcześniej wysokość i spokojnie zjechać w dół, do Wisły (a wcześniej na rynek w miasteczku), napotykam na zjeździe kocie łby i jazda staje się gehenną. Tak jest aż do rynku. W rynku tylko niewiele lepiej, bo kostka granitowa też nie jest przyjacielem rowerzysty, ale OK.

KAZIMIERZ

Zanim zjadę, zatrzymuję się na zamku, który też łatwo przeoczyć, no, ale tu byłem kilka razy, to wiem. Wcześniej jednak spotykam turystów pytających o drogę do Korzeniowego Dołu.

Jak ich informuję, że daleko – patrzą jeszcze na mapę i... rezygnują. Pewnie dzień zakończą w którejś restauracji, te są w Kazimierzu na wyciągnięcie ręki. A przecież ktoś mógłby postawić parę tablic informacyjnych którędy, jak daleko, co po drodze. Podjęliby racjonalną decyzję PRZED wyruszeniem w drogę. Ale może IM nie zależy, by turyści wychylali się poza rynek z restauracjami.



Zbiór porzeczek



Uprawa róż

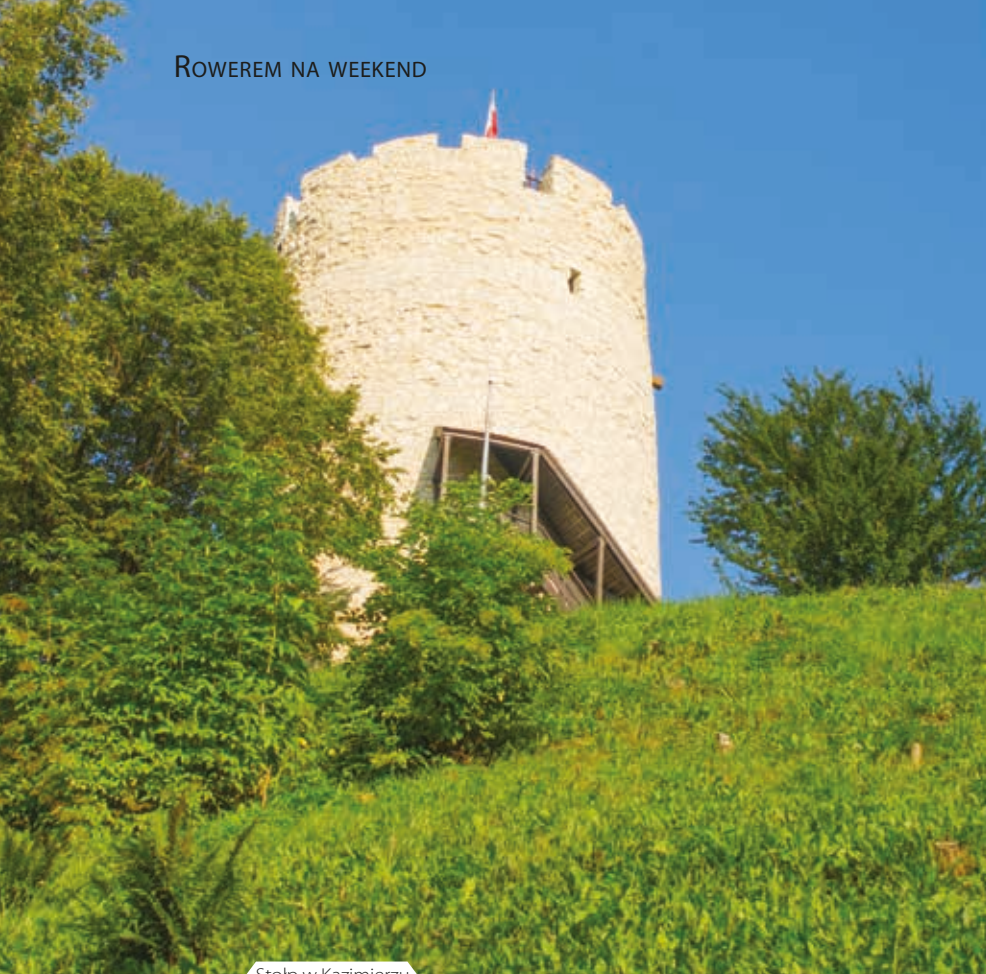


Cmentarz w Kolonii Zbędowice

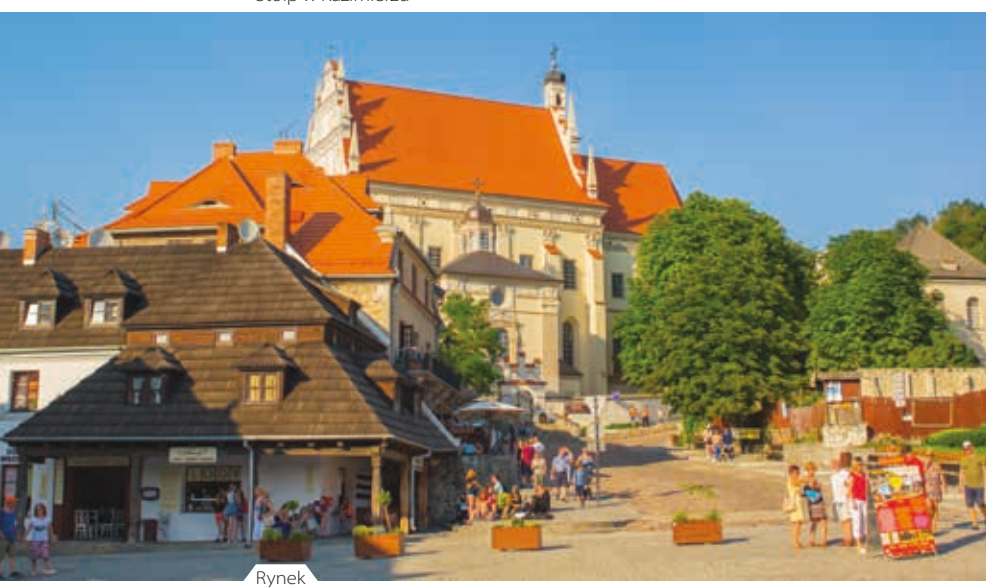


„Mistrzowskie” znakowanie szlaków rowerowych





Stożek w Kazimierzu



Rynek



Zmora rowerzystów – koczujące ławy prowadzące do rynku

Zamek w Kazimierzu składa się jakby z dwóch części. Wyżej stoi samotna wieża z końca XIII wieku, niżej pięćdziesiąt lat młodsze ruiny zamkowe. Z wysokiego na około 20 metrów stożka rozciąga się fantastyczny widok na Wisłę i miasteczko. Nie dane mi było teraz tam wejść (co zrobić z rowerem, a właściwie z torbami i ich zawartością? Nie wezmę wszystkiego ze sobą...), ale nawet z niżej leżącego dolnego zamku, a ściślej z jego podmurza, widok jest piękny. Warto jednak być tam wcześniej niż o siedemnastej, bo o tej porze obserwację Wisły utrudnia świecące słońce. Rano, około ósmej–dziewiątej, jego promienie powinny padać dużo korzystniej. Wieża pełniła funkcje raczej administracyjne – pobór opłat, skarbiec, więzienie – niż obronne. Możliwe, że na jej szczycie rozpalano ognisko będące czymś w rodzaju średniowiecznej, śródlądowej latarni „morskiej”. Zamek „dolny” w XVI, „złotym” wieku wszedł w posiadanie rodziny Firlejów, a ta przebudowała go na styl renesansowy, podobnie jak najświetniejsze budowle pobliskiego miasteczka. Kres świetności to potop szwedzki, a gwóźdź do trumny zamku wbili Austriacy w 1806 roku, wysadzając dużą część murów grożących zawaleniem.

Wjeżdżam na rynek. Coś by trzeba zjeść, wreszcie. Do tej pory (poza Puławami) nie było właściwie żadnego miejsca, ani sklepu, ani nawet pizzerii. Znajduję takową w rynku, ale nie akceptują kart! Niemniej zgadzają się przygotować pizzę, a ja w tym czasie objeżdżam miasteczko, nie tylko w poszukiwaniu bankomatu. Spóźniam się trochę po umówionych „piętnastu minutach”, ale jedzonko na mnie czeka. Drogo, ale smacznie. I już jestem gotów do dalszej drogi. Właściwie trzeba już wracać, jest szósta. Sześć godzin jadę tu z Puław, około dwudziestu kilometrów... No, takiej „średniej” to dawno nie miałem. Ale błędzenie po Puławach, kościół we Włostowicach (część Puław) i rozmowa z księdzem, piesze podejścia wąziami, błędzenie po „oznakowanych szlakach” – i sprawa czasu się wyjaśnia. Teraz więc na promenadę, prom, do Janowca – i na skróty do Puław.

Na samo miasteczko wiele czasu nie poświęciłem. Ale kto trafia tu pierwszy raz, musi przeznaczyć na to spotkanie ładnych parę godzin. Zachwyca przede wszystkim rynek ze studnią, choć ta pozostawiana pracami różnych artystów, najwięcej jest do kupienia obrazów z kamieniczkami właśnie.

Na promenadę droga prosta. To nie mały kawałek zagospodarowanego brzegu Wisły. Wolno, o dziwo, jechać nią rowerem, przynajmniej ja nie widziałem



Zamek w Janowcu

zakazów. Nie mogę nie trafić do promu, więc jadę spokojnie. Po lewej stronie wysoka skarpa wiślana, a z niej prześwituje kamień wapienny. To dawne kamieniołomy, które kiedyś były tuż nad brzegiem Wisły i stąd spławiano je dalej – Warszawa, Toruń, Gdańsk. Zapewne też i do Krakowa, mimo że to przecież pod prąd. Dojeżdżam do przystani.

LEWY BRZEG

Prom jest na drugim brzegu, właściciel czeka najwyraźniej na choćby drugi samochód, bo z jednym widać nie chce mu się płynąć. Po kilku minutach dzwonię i pytam, co się dzieje?

– *Jedną chwilczkę* – słyszę i odkłada słuchawkę. Mija jeszcze dziesięć minut i odpływa. Nie doczekał się. Nie ma tu rozkładu, prom kursuje „według uznania”.

Maszyna duża, jesteśmy sami na pokładzie. To znaczy ja i mój rower. Prom płynie wyjątkowo wolno, ale ten typ chyba już tak ma. Na szczęście dla niego zebrało się kilka samochodów, powrót na prawy brzeg Wisły będzie się opłacał: 9 zł za samochód i 6 zł za osobę. Rower bezpłatnie.

Lewy brzeg to inny świat. Tam cywilizacja, promenada, restauracje, a przede wszystkim – ludzie! Tu niemalże dziewicza przyroda, XIX wiek i pustki na ulicach. Jak po wybuchu bomby neutro nowej. Nad miasteczkiem, na wzgórzu niczym korona na głowie króla jest on!

– Zamek, czy też raczej pałac-rezydencja. Wspinam się w górę po kocich łbach, powolutku, bo stromo i wyboiście. Ale daję radę jechać. Po drodze mam zamek z prawej strony, pojawia się i znika za drzewami i domami. Dojeżdżam. Chyba tu kiedyś byłem, pewnie na wycieczce szkolnej, bo potem to już nie... Mimo wielokrotnego odwiedzania Kazimierza nigdy czasu ani pomysłu nie było, żeby tu przybyć. I dziś też jest już za późno.

Kupuję tylko śmiesznie tanie widówki przy wejściu na dziedziniec, objeżdżam wzgórze, niestety, Kazimierza nie widać, i wpadam prosto spod wiekowych drzew na... dziewiętnastowieczny folwark.

Janowiec to chyba już piąty powód, by przyjechać tu jeszcze raz. Czwartym powód – to Norowy i Korzeniowy Dół, choć pewnie tych wozów jest więcej.

Miałem wracać do Puław wzdłuż Wisły, licząc na widoki z zachodzącym słońcem. Ale pojadę na skróty, po cięciwie łuku Wisły. Jest późno i ściemnia się już. A jeszcze trzeba wrócić do Warszawy.

Wycieczka krótka, ale bardzo ciekawa. Nie udało mi się zrealizować nawet połowy *rajzeplanu*, ale i tak jestem bardzo zadowolony. Wąwozy wspaniałe, już ostrzę zębki na te sławniejsze, do których teraz nie dotarłem. Kazimierz skąpany w zachodzącym słońcu wyglądał odlotowo. A Puławy? Park rzeczywiście romantyczny – „antyczne świątynie”, tajemnicze grotty, pawie. Nie zjechałem miasta

Zamek w Janowcu powstał na początku XVI wieku z fundacji jednego z najzamożniejszych rodów ówczesnej Rzeczypospolitej – Firlejów. Początkowo było to założenie obronne, już jednak pięćdziesiąt lat po fundacji przebudowano go na rezydencję. Oczywiście na włoski styl. W czasie potopu szwedzkiego – zniszczony. Nowi właściciele (w międzyczasie był jeszcze ród Tarłów) – Lubomirscy odbudowali go, ale ich potomek, Jerzy Marcin, krótko przed trzecim rozbiorem przegrał zamek w karty... Taką to wówczas miało się fantazję!

Zamek wygrać było łatwo, utrzymać – zdecydowanie trudniej, a w praktyce niemożliwe.

Piaskowscy i Osławscy sprzedali wszystko, co się dało z niego zdemonstrować i sprzedać. A same mury popadły w ruinę. Kolejna ciekawostka jest taka, że po wojnie zamek, będąc w rękach prywatnych, nie został znacjonalizowany, do 1975 roku był w rękach prywatnych. Obecnie obiekt jest we władaniu Muzeum Nadwiślańskiego. Dziś na wzgórzu obok zamku znajdują się budynki z końca XVIII i z XIX wieku: dwór drewniany, spichlerz, stodoła.

wzdłuż i wszerek, ale wracając wieczorem, zauważyłem nowiutki kemping nad Wisłą, przy także nowej marinie. Jachtu nie mam, ale z kempingu skorzystam. Muszę tu koniecznie wrócić.

Tekst i zdjęcia: Paweł Cukrowski

Zobacz też...

→ **Żydzi w Kazimierzu** „Psk” 4/2014

→ **Spichrze w Kazimierzu** „Psk” 8/2014

→ **Ruiny zamku w Kazimierzu** „Psk” 5/2015

Autor u murów zamkowych Kazimierza

